

Maria Pindela

Urodzona w 1901 r. w Przemyślu. Zmarła 31. 08. 1972 r. w Gdyni. Ukończyła Seminarium Nauczycielskie w Przemyślu. Nauczycielka szkół gdyńskich. Na emeryturę z SP nr 14 odeszła 01. 09. 1968 r.

W 45-lecie pracy pedagogicznej¹

Seminarium nauczycielskie skończyłam w 1920 r. w Przemyślu. Na pół roku przed zdaniem matury pisałam z moimi koleżankami do różnych miejscowości o przydzielenie pracy. Odpowiedzi przychodziły szybko z prośbą o przyjazd. Nauczycieli było mało, a miejsc pracy dużo. Do dzisiaj mam pismo z Radomia, Włocławka, no i Gdyni. Inne odpowiedzi poginęły.

Wybrałyśmy z koleżanką Gdynię nad morzem, gdyż poprzednio przeczytałam w „Gazecie Przemyskiej” opis tego miejsca, pięknych willi, morza i lasu.

W zawiadomieniu o wolnym etacie ówczesny inspektor nadmienił, że jest kilka posad. Wybraliśmy się w czwórkę. Wśród nas była koleżanka i kolega, którzy jeszcze nie zdali matur. Podróż w owym czasie była niewygodna, przepełnione pociągi chodziły nieregularnie. Gdy po dwóch dniach dobrnęliśmy do Tczewa, musieliśmy się poddać kontroli celnej. Celnicy przetrząsnęli nam rzeczy szukając szczególnie dolarów. Gdy pociągiem jadącym do Gdyni zatrzymaliśmy się w Pszczółkach, weszli niemieccy celnicy. Wreszcie przyjechaliśmy na miejsce. Dworcem gdyńskim był niepozorny budynek przy dzisiejszej ulicy Czerwonych Kosynierów. Na dworcu spotkaliśmy kobiety w wielkich, słomianych kapeluszach, z koszami ryb na plecach, robiące na drutach pończochy. Był to widok znany nam jedynie z obrazków.

Ruszyliśmy do miasta, które w pierwszej chwili nas rozczerowało. Nie było to wspaniałe kąpielisko, znane z opisów w gazetach, ale typowa gbursko – rybacka wieś, której centrum stanowiła krzywa ulica Starowiejska z parterowymi domami, niekiedy nawet krytymi słomą. Mniej więcej w środku ulicy znajdowała się restauracja Grzegowskiego, gdzie zjedliśmy obiad. Po raz pierwszy wtedy jadłam smażoną flądę.

Po dłuższych poszukiwaniach odnaleźliśmy dom, w którym mieszkał inspektor szkolny. Domem tym była willa „Stella Maris” mieszcząca się na narożniku obok dzisiejszego Młodzieżowego Domu Kultury. Byliśmy zdumieni, gdy inspektorem okazał się ksiądz. Był to ksiądz Doroszyński, który bardzo się ucieszył z naszego przyjazdu. Spędziliśmy u niego kilka dni pomagając mu w załatwieniu różnych spraw pisemnych związanych ze szkolnictwem.

Gdyńska szkoła mieściła się w zwykłej „checzy” kaszubskiej, która znajdowała się przy ulicy Starowiejskiej, mniej więcej naprzeciw obecnej „jedyńki”. Dziś tam stoi wysoki gmach. Główną ulicą była Starowiejska, a z drugiej strony toru ciągnęła się „szosa gdańska” - dzisiejsza ulica Ślaska i Czerwonych Kosynierów [przyp. red. obecnie Morska]. Początkowo planowano rozbudowę miasta z tamtej strony. Gdynię otaczały piachy, na których rósł owies i kartofle. Dzisiejsza Świętojańska była zwykłą ścieżką polną. Na Skwerze Kościuszki w pobliżu dzisiejszego pomnika znajdował się Dom Kuracyjny, do którego sięgało morze.

¹ Źródło: Pierwsza Kronika ZNP – wpis własnoręczny w grudniu 1965 r.

Do roku 1939 do Gdyni prowadził z Sopotu jeden tor kolejowy (ze względów strategicznych). Niemcy w czasie wojny założyli drugi. Rozwój miasta był w ogóle obliczony do 30 tys. mieszkańców. Początkowo Gdynia należała do gminy Oksywie, dworzec był raczej przystankiem.

W trakcie rozmów z inspektorem dowiedzieliśmy się, że w Gdyni jest już nauczyciel, (był nim zmarły parę lat temu kolega Jan Kamrowski), a my przybysze musimy się rozdzielić, aby obsadzić inne miejscowości. Mnie w udziale przypadło Wiczlino II tzw. Pustki, jedna z koleżanek Wiczlino I, jej siostra dostała Kolonię, a kolega Chwarzno. Ewentualnie mogłam sama zostać w Gdyni, ale nie podobało mi się tu specjalnie, a poza tym chciałam być w pobliżu koleżanek.

Wieś Wiczlino leżała w odległości 8 km od Gdyni. Jechało się tam bryczką, przez cały czas lasem, który rozpoczynał się zaraz za dworcem, przy ulicy Czerwonych Kosynierów. Na całej trasie widzieliśmy mnóstwo grzybów, których nikt nie zbierał. Gdy dojechaliśmy do Wiczlina, rozniosła się wieść, że przyjechały „szkólne”. Tu rozdzieliliśmy się. Zostałam z jedną z koleżanek. Zamieszkałyśmy na razie w szkole. Za całe umeblowanie służyły nam dwa starodawne pożyczone łóżka, dwie ławki szkolne, jakiś stół, dwa krzeselka. Zaczęłyśmy „mieszkać”. Na strychu w szkole znalazłam wymłócone zboże, a w chlewie pełno drzewa. Do nauczyciela należało 8 mórg ziemi i ogród.

Skończyły się wakacje letnie, w szkole zjawily się dzieci. Byłam pierwszą polską nauczycielką w tej szkole. Niemiecki nauczyciel przed dwoma miesiącami wrócił do swojego kraju. Gdy pierwszego dnia stanęłam przed klasą i policzyłam dzieci, okazało się, że było ich 106. Dzieciaki przyglądały mi się z ciekawością, a ja im. Dziennik był na wpół po niemiecku. Wszystkie dzieci mówiły po kaszubsku, a ten język, dość trudny zresztą, był mi zupełnie obcy. Gdy do jednej dziewczynki zwróciłam się z zapytaniem, dlaczego nie była w szkole, odpowiedziała mi „*ja neka lewce w les*” [„ja wyprowadzała owce do lasu” – przyp. Red.]

Nie wiedziałam o co chodzi. Patrzyłam śmiejąc się na dzieci, a one śmiały się ze mnie. Początkowo tak wyglądały nasze rozmowy. Zaczęliśmy się pomału porozumiewać. Dzieci kaszubskie szybko przyswoiły sobie język polski, były pilne, chętne do pracy i posłuszne. Podzieliłam dzieci na dwie klasy, po dwa oddziały. Klasa III i IV uczyła się od ósmej do jedenastej, a I i II od jedenastej do trzynastej. Jak poradzić sobie z tak wielką gromadą w seminarium nas nie uczono. Trzeba było samemu pokonywać trudności.

Wkrótce zżyłam się ze wsią. Urządzaliśmy zabawy ze starszą młodzieżą. Organizowaliśmy przedstawienia. Szczególnie uroczyscie było obchodzone święto 3 Maja. Kobiety piekły placki, urządzano podwieczorek dla dzieci, a potem zabawę dla dorosłych. Ludzie dziwili się, że taka młoda nauczycielka umie organizować zabawy i przedstawienia. Uroczyscie obchodzono również okres świąteczny od Bożego Narodzenia do Trzech Króli.

Wakacje były podzielone na dwie części: miesięczne wakacje letnie i 3. tygodniowe na wybieranie ziemniaków.

Pewnego razu przysłała do szkoły najbogatsza z całej wsi Kaszubka (miała 500 mórg). Gdy zobaczyła nasze mieszkanie roześmiała się i kazała nam spakować manatki. Zabrała nas do siebie. Mieszkałam u niej do końca pobytu w Wiczlinie. Pensje nasze były niewielkie. Otrzymywaliśmy je początkowo w markach (500 marek wynosiła pierwsza pensja). Mieszkanie i utrzymanie dostałyśmy za 150 marek. Gospodarstwo należało do szlachcica,

a gospodyni była dumna z nazwiska. Nazywała się Warzevska, ale lubiła o sobie mówić von Warzevska.

We wsi nie było sklepu ani kościoła. Do kościoła jeździło się do Wielkiego Kacka, a po zakupy do ówczesnych Sopot lub Gdańska. Pieniądze polskie wymieniało się w banku na marki niemieckie.

Do kina czy teatru także trzeba było jechać do Gdańska. Brakowało nam rozrywek kulturalnych. Po trzech latach wniosłyśmy więc podanie o przeniesienie.

Koleżanka dostała się do Redy, a ja do Małego Kacka. Szkoła w Małym Kacku była dwuklasowa, kierownikiem był Jan Borucki. Mieściła się obok cmentarza i kościoła ewangelickiego, a druga naprzeciw, po drugiej stronie drogi. Była tam też agencja pocztowa. W tej szkole, w której ja mieszkałam, był również posterunek policji i areszt. Była to szkoła rozwojowa.

Z początku kierownik szkoły był sołtysem. Chociaż bałam się trochę mieszkać samotnie w szkole obok cmentarza, czułam się tu lepiej, bo poznałam inteligentnych ludzi. W Orłowie mieszkało wielu polskich urzędników dojeżdżających do Gdańska.

W majątku w Małym Kacku początkowo siedział Niemiec Jewelowsky, który sprzedał potem posiadłość za półtora miliona. Wtedy właśnie nastąpiła dewaluacja i mógł za tę sumę kupić dwa pudełka zapalek. Ja natomiast dostawałam w tym czasie co kilka dni wiele milionów marek jako uzupełnienie pensji.

Stopniowo przyzwyczajałam się do nowych warunków. Po pewnym czasie wybuchła epidemia odry. Szkołę zamknięto, a ja właśnie wtedy pewnego dnia dostałam wezwanie do składania egzaminu kwalifikacyjnego. W różny sposób wzywałam dzieci na oznaczony dzień do szkoły, zmartwiona, że dość długa przerwa w nauce odbije się na ich wiadomościach. 5 marca 1925 roku przyjechała komisja złożona z inspektora szkolnego i wizytatora księdza Strogulskiego z Torunia. „Kwalifikę” tę zdałam, ale nie ku memu zadowoleniu, bo dzieci były ściągnięte do szkoły po dwumiesięcznej przerwie.

Ponieważ szkoła była rozwojowa i ciągle napływały nowe dzieci, przez dłuższy czas część uczniów siedziała w klasie na ziemi, aż wynajęto izbę w jakimś domu nad rzeką Kaczą. To trochę rozładowało tłok. Równocześnie napływali nowi nauczyciele. Praca była coraz trudniejsza, klasy przepełnione, pomocy naukowych mało, ale jakoś dawaliśmy sobie radę. Urządzaliśmy zabawy i przedstawienia w Domu Kuracyjnym w Orłowie, a praca szła.

W tym czasie powstawały nowe szkoły na terenie Gdyni, powstała „dwójka” i „trójka”. Kierownikami zostało dwóch nauczycieli z „jedynek” - kolega Stańco objął „dwójkę” a kolega Kortas „trójkę”.

Po wakacjach kierownik został przeniesiony do powiatu kartuskiego, a jego miejsce zajął kolega Raatz. Okres ten wspominam przyjemnie. Pracowałam w Orłowie do roku 1938. Jeszcze przedtem otwarto w Orłowie nową szkołę, istniejącą do dziś „jedenastkę”, której kierownikiem był kolega Stępień, u którego pracowałam. Kolega Raatz przeszedł do „trzynastki”.

W 1938 roku przeniosłam się do szkoły nr 2 w Gdyni. Rok 1939 wygnał mnie do Krakowa, gdzie przesiedziałam 6 lat. Włączyłam się tam do tajnego nauczania.

Po wyzwoleniu wróciłam z rodziną do Gdyni i zgłosiłam się do pracy 13 lipca 1945 roku. Otrzymałam pracę w „jedynce”. Gdy obejmowałam obowiązki, inspektorat nie był jeszcze w pełni zorganizowany. Brakowało papieru, ołówków, atramentu. Ponieważ mój mąż

był naczelnikiem stacji Gdynia Port, pomógł wydatnie w dostarczeniu tych rzeczy, szczególnie węgla, drzewa i naczyń.

Nauczycielstwo organizowało stołówkę pod kierownictwem pani Kopeciowej, żony przedwojennego inspektora zamordowanego przez Niemców w Piaśnicy. Dużo pracy w uruchomienie tej stołówki włożyła koleżanka Starzewska.

Po pięciu latach pracy w szkole nr 1 przeniosłam się do „osiemnastki”, skąd po roku przesłam do szkoły nr 21, obecnej „czternastki”, gdzie pracuję do tej pory.

Gdynia, w grudniu 1965 roku.

Bronisław Raatz

Urodził się 20.04.1905 roku. Zmarł 05.01.1982 roku w Gdyni.

Przed wojną kierownik szkoły w Małym Kacku, w którym jednocześnie pełnił funkcję sołtysa.

Po wyzwoleniu – wieloletni nauczyciel szkół trójmiejskich.

Członek ZNP w Gdyni od 1929 roku, działacz związkowy, członek Komisji Historycznej.

Gdyńskie szkoły²

Pochodzę z Borów Tucholskich, ze wsi Gostyczyn. Ojciec Michał Raatz był małym chłopem, a rodzina składała się z dziesięciu osób, miałem cztery siostry i trzech braci, więc warunki materialne były dosyć ciężkie. Ojciec pracował dodatkowo na kolei, jako robotnik fizyczny, a my już w latach szkolnych pomagaliśmy rodzicom w gospodarstwie i na roli.

Szkołę powszechną czteroklasową niemiecką ukończyłem w 1919. Przez następne półtora roku pracowałem zarobkowo w polu u gospodarzy, w zamian za obróbkę naszej ziemi. Po oswobodzeniu z wojsk niemieckich w 1920 roku Pomorza, a więc i naszej wioski rodzinnej, zabrałem się do dalszej nauki. Chciałem zrealizować moje marzenie młodości. W roku 1921 wstąpiłem wraz ze starszym bratem Władysławem do Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Tucholi, które ukończyliśmy po pięciu latach. To były bardzo ciężkie czasy pod względem materialnym dla nas i całej rodziny. Każdy grosz trzeba było oszczędzać by starczyło na opłatę czesnego i internatu. Upór nas obu i pomoc finansowa starszego rodzeństwa, pozwoliły na osiągnięcie celu. Z wdzięczności za to, będąc już na posadzie nauczycielskiej, podjęliśmy się z bratem ponieść wszelkie opłaty, związane z wykształceniem, również w zawodzie nauczycielskim, młodszego brata Michała. Było nas więc trzech pedagogów w rodzinie. W 1936 roku wstąpiłem w związek małżeński, żona jest również nauczycielką.

W ósmym roku istnienia niepodległej Polski, powstałej z przeszło stuletniej niewoli, mogłem włączyć się w odbudowę jej oświaty i wychowania młodego pokolenia. Z dniem 1 września 1926 roku dekretem Kuratorium Okręgu Szkolnego Pomorskiego w Toruniu zostałem mianowany nauczycielem z pełnieniem obowiązków kierownika dwuklasowej szkoły powszechnej w Małym Kacku. Na skutek gwałtownego napływu ludności do Gdyni i okolicy szkoła ta w 1931 roku podniesiona została do pięcioklasowej, a w 1933 została przemianowana na szkołę powszechną III stopnia w Orłowie Morskim, dawnym Małym Kacku. Ponieważ liczba uczniów zwiększała się raptownie, z dnia na dzień, w związku z napływem robotników do rozbudowującego się miasta i portu w roku 1934 poczyniłem wraz z Inspektorem Szkolnym w Wejherowie starania o budowę nowej szkoły przy ul. Wrocławskiej w Orłowie Morskim. Dnia 13 czerwca 1935 roku zostało ono włączone do miasta Gdyni, a 1 września 1935 roku nowy budynek szkolny przy ul. Wrocławskiej przejął część młodzieży z mojej dotychczasowej,

² Fragmenty szerszego życiorysu dołączonego do ankiety Rady Zakładowej ZNP w Gdyni z dnia 15. 01. 1979
Źródło: Archiwum Z.O. ZNP w Gdyni. Maszynopis.

którą oznaczono nr 8. Nowa przy Wrocławskiej otrzymała nr 11. Dołączyły do niej budynki dawnej szkoły 2-klasowej w Małym Kacku oraz wynajęte pokoje – klas znów nie wystarczało. Poczyniłem więc dalsze starania w Komisariacie Rządu o budowę nowej szkoły w dzielnicy Mały Kack. Dnia 1 września 1936 roku została ona otwarta i otrzymała numer 13. Zostałem mianowany w wyniku konkursu kierownikiem tej szkoły, którą prowadziłem do II wojny światowej.

Młodzież Małego Kacka pochodziła głównie z robotniczych rodzin wielodzietnych. Prężny Komitet Rodzicielski bardzo dobrze rozwiązywał sprawę dożywiania, zakupu pomocy naukowych oraz podręczników dla biedniejszych uczniów.

Bezpośrednio po ustąpieniu działań wojennych, 9 kwietnia 1945 roku – wynędzniały i schorowany po przejściu obozu Stutthof i „Marszu Śmierci” – włączyłem się do organizowania szkolnictwa na terenie Gdyni. Pracowałem początkowo, tak jak wszyscy, za bochenek chleba dziennie. Przez kilka miesięcy działałem w szkolnictwie powszechnym, a następnie otrzymałem pracę w I Liceum Ogólnokształcącym w Gdyni – Orłowie i dodatkowo w Publicznej Średniej Szkole Zawodowej w tej samej dzielnicy.

Od 1 września 1950 roku przeszedłem całkowicie na etat Zasadniczej Szkoły Zawodowej (resortu Ministerstwa Gospodarki Komunalnej) przy WPK GG w Gdyni – Redłowie, gdzie pracowałem do 31 sierpnia 1960 roku. Przy tej szkole w roku 1954 zorganizowano Technikum Komunikacyjne o trzech wydziałach, w którym również pracowałem jako nauczyciel matematyki, fizyki i elektroniki. Od 1 września 1960 roku do 31 sierpnia 1970 roku, tj. do przejścia na emeryturę, byłem nauczycielem matematyki i fizyki w Technikum Komunikacyjnym w Gdańsku – Wrzeszczu.

Tak więc w szkolnictwie na terenie Trójmiasta pracowałem czterdzieści cztery lata z przerwą okupacyjną. W wielu zakładach i instytucjach spotykam dzisiaj bardzo często moich byłych wychowanków, pracujących na różnych stanowiskach. Również tu mieszka i pracuje troje moich dzieci – absolwentów Politechniki Gdańskiej.